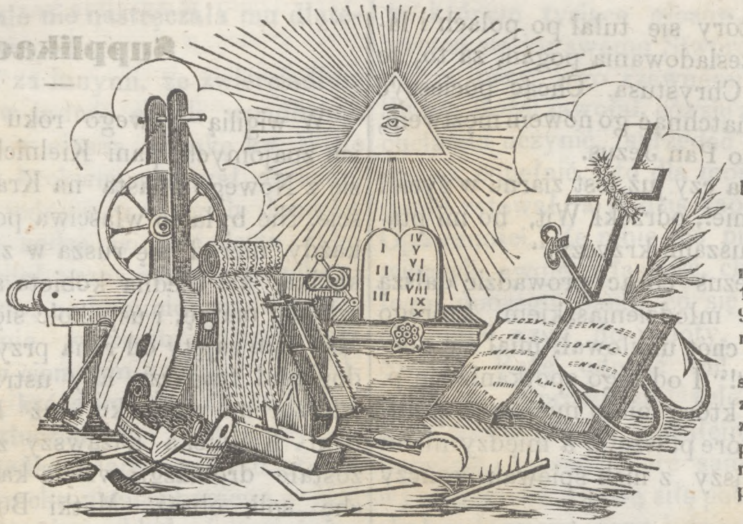
№ 25.
Warszawa.
Dnia 10 (22) Czerwca.
1856.
Niedziela
6 PO ŚWIĄTKACH



KANTOR GŁÓWNY
W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszaws. płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Daj nam prosimy Panie! abyśmy za Twą sprawą spokojny żywot prowadzili, i żeby Twój kościół wesołem Cię sercem mógł wychwalać (Modlitwa kościelna na niedzielę 6tą po Świątkach).

Swięty Wit, słowik cyt!

Któż się z nas nie zachwycał miłą i rozrzewniającą pieśnią słowika, tego pierwszego śpiewaka naszych zielonych gajów?

Gdy ziemia zrzuca z siebie twardą skorupę zimy, on nam zwiastuje i przyprowadza wiosnę, która ubiera kwiatem nasze szare niwy, wlewa w piersi jakąś pociechę, i budzi nową cześć dla Tego, który tak piękny i wielki świat stworzył. Ileżto razy, nie jeden z nas, kiedy żal jaki duszę ciśnie, a może i łza do ócz nabiera, idzie w ciche ustronie, gdzie się czeremcha, jakby śniegiem, białym okryła kwiatem, i słucha z rozkoszą słowika, że aż mu lżej i milej w życiu się staje.

Władysław Jagiełło Król Polski, który potęgą ówczesną naszego kraju, i wdziękami sławionej królowej Jadwigi skłoniony, pojął ją za żonę, i Litwę pogańską ochrzciwszy, do Korony przyłączył, bardzo lubił śpiew słowika. W ostatnich nawet chwilach swojego życia, w Gródku na Podlasiu, kazał się już chorego wynieść do dąbrowy, czyli zielonego lasku, aby słuchać śpiewu tego rozkosznego ptaka, a nawet, jak piszą, że przeziębienie z tego powodu, przyspieszyło zgon owego monarchy we wsponionym Grodku w 48 roku życia, nastąpiony, i zkąd zwłoki tego władcy przeniesiono do Krakowa, do grobów królów polskich.

Ale dziś już przeszła połowa czerwca, umilkł ów rozkoszny śpiewak gajowy, i już nie słychać jego lubej i głośnej piosenki! A chociaż już idzie do nas bogate i brunatne lato, choć niedługo pola zielone pokryją się złotą szmatą pszenicy, i przyniosą nam chleb powszedni, o który codziennie do Boga w modlitwie wołamy, chociaż już wonne róże czerwienią się i bielą po ogrodach i polach, gęstemi kępami; my jednak zatęsknimy za wiosną i słowikiem, bo wiosna, to młodość, a któż za młodością w swem życiu nie wzdychał?

A dlaczegoż słowik już umilkł? *Bo nadszedł święty Wit, to też słowik cyt!* Tak lud wiejski między sobą gwarzy; posłuchajmy go, i my się nauczym, zkąd to przysłowie powstało?

Szedł sobie raz, (mówi podanie ludowe) Pan Jezus przez pole, i spotkał młodego chłopca,

imieniem Wita, który się tułał po polach i lasach, unikając prześladowania pogan, za to, że wyznawał naukę Chrystusa. Chcąc pocieszyć smutnego Wita i natchnąć go nowem męztwem, przemówił do niego Pan Jezus.

„Wicie! Wicie! a czy już jest ziarno w życie?

„Nie słyszę, panie!, odrzekł Wit, bo mi ptastwo bardzo nad uszami krzyczy.“

Wtedy Pan Jezus chcąc prowadzić dalszą rozmowę z owym młodzieniaszkiem, którego dla jego wiary i cnót umiłował, miał się odezwać: “*ptastwo cyt!*“ I od tego spotkania się p. Jezusa z Witem, które miało miejsce w połowie Czerwca, niektóre ptaszęta, a między niemi słowik, najgłośniejszy z nich śpiewak, kończy swoje piosenki.

Ale nie myślcie, że osoba Śgo Wita, w téj ludowéj powieści, czyli legendzie, jest zmyślona. Oj, nie! cnotliwy ten młodzieniaszek, bo zaledwie lat 12 liczący, żył na świecie w 3cim wieku t. j. około trzechsetnego roku po narodzeniu Chrystusa. Lubo zrodzony z rodziców pogańskich, poznawszy się z chrześcianami, tak pokochał naukę Chrystusa, że ją potajemnie przyjął i wyznawał. A gdy się ojciec jego, poganin, o tem dowiedział, i wszelkiemi siłami usiłował powrócić go nazad do pogaństwa— całował chłopczyna ręce ojca, ale wyznał, że największe katusze, śmierć nawet sama nie skłonią go do odstąpienia Chrystusa i Jego Boskiej nauki.

Tak się też stało, bo wkrótce, kiedy prześladowanie chrześcian, za panowania Dyoklecyana cesarza Rzymskiego doszło do najwyższego stopnia, między innemi stawiono i Wita przed sąd lecz obwiniony, nie chciał się obok największy ch męczarni, wyrzec Chrystusa i kłaniać bożkom pogańskim;—pomimo więc, że córce monarszéj modlitwą i łaską Boską zdrowie przywrócił,— rozszarpano członki tego młodego, ale prawdziwego wyznawcy Chrystusa, a kościół święty uwielbiając cnoty męczennika i poświęcenie się dla wiary, zalecił go, jako wzór do naśladowania swoim wyznawcom, w poczet świętych policzył, i dzień 15 czerwca imieniowi Jego poświęcił.

Supplikacye.

W wigilią Nowego roku 1855, jedna z moich znajomych, pani Kielnicka, przeprowadzała się z Nowego Miasta na Krakowskie-przedmieście. Nie była to właściwa pora do przenosin, bo każdy nierad się rusza w zimie z opatrzonego kącika, ale biedna kobieta straciła w tem mieszkaniu matkę, i uspokoić się w niem nie mogła. Mąż sam zajęty od rana przy pakowaniu rzeczy, doglądał tragarzy, aby ustrzedz szkody. Nad wieczorem wszystko już było na miejscu, pani Kielnicka kazawszy zabrać służącéj pozostałe drobiazgi, wzięła kawałek chleba, trochę soli, obraz Matki Boskiej, a pożegnawszy ze łzami pokoik, w którym matka oddała ostatnie tchnienie Bogu, udała się do nowego pomieszkania. Jeden z tragarzy miał sobie poleconem przenieść duże zwierciadło, w staroświeckich mahoniowych ramach. Człowiek ten razem z innemi najęty od rana, zdawał się być chorym, czy bardzo nieszczęśliwym. Oszczędzano go przy robocie, a koledzy jego mówili między sobą: niech poniesie ten koszyk, to pudełko, to zwierciadło, on nie ma siły dźwigać cięższych rzeczy. I biedny człowiek szedł za drugimi smutny, z pochyloną głową, nie mówiąc i słowa, przed każdym kościołem uchylał czapkę, robił znak krzyża Sgo, a zapytany, co mu jest? odpowiedział, że ma dzieci chore, unikając dalszego tłumaczenia. I tym razem szedł wolno, odpoczywał, nie pilnowano go, dopiero tuż przy domu spostrzeżono, że go nie było. Napróżno czekano, wysyłano po niego, wszystkie poszukiwania były daremne, znikł bez śladu. Może, panie, gdzie zachorował, mówił jeden, bo taki jakiś niemocny, może mu się co stało, dlaczegóż go pan najmował?— my go nie znamy; i teraz może pan mieć szkodę. Pan Kielnicki skłopotany, uspokajał żonę, mowiąc: przecież nie zginie, niepodobna, żeby uciekł ze zwierciadłem, oto pewno gdzie odpoczywa, albo do domu zaszedł, sam on tu nadejdzie. Tymczasem rzecz się tak miała: Franciszek, to było imie wyrobnika, był bardzo biedny, w domu żona i troje dzieci od trzech dni już prawie nic nie jadły. Franciszek był z rzemiosła stolarzem, robota się nie trafiała, poszedł na wyrobek, ale że niedawno wyszedł ze szpitala, nie miał wiele siły. Sama postać tego człowieka, zbiedzona i wynędzniała

wzbudzała litość, ale nie nastręczała mu dlatego znaczniejszego zarobku.

Gdy się pozostał za innymi, ze zwierciadłem w ręku, zła myśl w jednéj chwili wpadła mu do głowy. Skręcił w ciasną uliczkę ku Wiśle wiodącą, i szybkim krokiem zmierzał do lichego mieszkania, w jednym z ubogich domków nad Wisłą. Ciężka nędza widzieć się tu dała, wiatr zimny dmuchał przez otwarte szczeliny, drzwi i okien nie było, na kominie śladu ognia, dawno zapewnie nie widziano. Dzieci tuliły się do siebie w ciemnym kącie, na kawałkach zbitych desek, które im służyły za łóżko.

Para stołków potłuczonych i stół, który widać został się sam jeden z lepszego bytu, stanowiły cały sprzęt tego schronienia ubogiego.—Mój Franku, mówiła do niego blada i wycieńczona kobieta, co znaczy to zwierciadło?—Weź go odemnie Magdaleno; cały dzień byłem zatrudniony przy przeprowadzaniu, mam tu 10 groszy, dał mi je ten pan na śniadanie, kup dzieciom chleba; to zwierciadło odniosę zaraz, tylko trochę odpocznę, po to tu przybyłem, chcąc ci zarazem dać na chleb dla dzieci.—Ale, mój kochany, to już lepiéj było ci dokończyć roboty, byłbyś przyniosł zarobek, a ten pan będzie się turbował, Bóg wie co sobie pomyśli, jak cię nie będzie widać, powie może, żeś go rozbił, żeś szkodę zrobił.

—Ale odpocznij już, pójdę po chleb, zjedz z dziećmi kawałek i odnieś lustro, bo się boję, że ci państwo będą się niepokoić. I to mówiąc, poczciwa kobieta starannie ustawiała zwierciadło, złamanym stołkiem go zasłoniła, i upominała dzieci, żeby się nie zbliżały.—A broń Boże szkody, to cudze, to święte, powtarzała. Franciszek patrzał z boleścią na żonę, smutne myśli snuły mu się po głowie, a ciężka walka wrzała w strapionéj duszy. Za to zwierciadło mógł dostać pieniędzy, ogrzać dzieci, dać im kawałek chleba, którego im brakowało. Nie czekając, aż żona powróci, wysunął się i biegł na Franciszkańską ulicę. Pierwszy krok już był zrobiony, miał w ręku rzecz cudzą, miał z niéj korzystać, miał ukraść. Przechodzi około kościoła Księży Franciszkanów, mnóstwo ludu tłoczyło się do domu Bożego, gdzie się odbywało nabożeństwo na zakończenie starego roku. Jakaś siła niewidzialna popchnęła Franciszka między tłum pobożny. Spiewano supplikacye, cała dusza biednego człowieka wstrząsła się na ten hymn cudowny, w którym tysiące głosów, z ufnością i wiarą wznosi się ku swemu Stwórcy. Padł na kolana, a oczy jego rzewnemi zalały się łzami. Swięty Boże! zawołał, cóż się zemną dzieje? Co ja chciałem uczynić, sprzedać rzecz niemoję, występek popełnić, i to dla moich dzieci, Bóg mię dotąd ratował, a ja dziś zapomniałem o Jego Opatrzności. Że mnie nie pilnowali, że mi powierzyli swoję własność, chciałem ukrzywdzić tego dobrego pana, co się nademną ulitował, co mnie wziął do roboty, i dał na śniadanie. Swięty Boże odpuść mi! Dziękuję Ci, żeś mnie tu zaprowadził, tyle ludzi Cię chwali, a ja nieszczęśliwy chciałem taki ciężki grzech popełnić, lepsza śmierć sama, mój Boże, jak występek.—I z nową siłą pobiegł do domu, uścískał zadziwioną żonę i dzieci, porwał zwierciadło, i pomimo spóźnionej pory odniósł je na miejsce.—W. Panie! wołał, jeszcze na wschodach, daruj mi W. Pan, daruj! Oto pańskie zwierciadło, odnoszę je, dziękuję za to Bogu wszechmocnemu.—Cóż się to stało, mój człowieku? gdzieś ty zginął? Co ci mam darować?— W. panie! ja chciałem ukraść pańskie zwierciadło, ale Bóg mnie uratował, zaprowadził przed kościół, ludzie się modlili, nie wiem, co się zemną stało; ale zdaje mi się teraz, żebym już nie żył, gdybym był to zrobił. Nie mógłbym prosić Boga w mojéj biedzie; Swięty Boże zmiłuj się nademną. A moje dzieci, Bógby je za mnie karał, jakżebym śmiał patrzeć na ludzi; bo Franciszek był zawsze uczciwy, dziś tylko Bóg mnie opuścił, zapomiałem, że na mnie patrzy. Nie chcę W. panie zapłaty, tylko daruj mi, żem panu niespokoju narobił. Nie mam prawda i grosza na chleb, ale Bóg mi pomoże zarobić, wyproszę, ale nie ukradnę, bo to straszno!—Źle uczyniłeś, mój człowieku, nabawiłeś nas kłopotu, Bóg cię od wielkiego złego zachował, bo to by się wydało, policyaby cię wyśledziła i ukarała, a niewielebyś się i tak poratował, bo żydziby ci i części nie dali za zwierciadło, wiedząc, że nie twoje; nam byś był krzywdę wyrządził, i my także niebardzo bogaci. Dziękuj Bogu, ufaj w Jego opiece, On cię nie opuści, jeżeli będziesz poczciwym; masz tu twoję zapłatę. Najtrudniejszy do złego początek, strzeż się i myśli niegodziwej.

Franciszek wrócił wesół do domu. Na drugi dzień po Nowym Roku stolarz, u którego pracował przed chorobą, przysłał po niego, że go

potrzebuje do pomocy, mając jakiś większy obstalunek. Razem z możnością zarobku wróciły mu i siły do pracy, dziękował Bogu, że go obronił od występku, i że mu dał sposobność zapracowania uczciwie na wyżywienie żony i dzieci.

Rolnik i Rzemieślnik.

Rolnik.

Dzień boży dnieje i słońce świta:
Kto kwiat posieje, kwiat mu zakwita;
Kto oset rzuca, oset mu wzrośnie,
Kto drzewo szczepi, cień zyska w wiośnie;
Ale kto w ziemi rozsiéwa zboże,
Ziarnem świat cały posilić może.

Rzemieślnik.

Dobre jest zboże, drzewa i kwiaty,
Lecz równie dobre ludziom są szaty,
Które ja dla nich starannie szyję;
Suknię, płaszcz, co się do ziemi wije,
A ciepły, że choć ziemia zakrzepła,
On wam niejeden da stopień ciepła.

Rolnik.

Już to co rolnik, to rolnik, bracie!
Dymnoć, co prawda, nieraz mu w chacie,
Lecz, gdy na pole wychodzi latem,
Świat jasny, piękny jest mu warsztatem,
Swą ręką ziemię wszech Pana kraje,
Swą ręką ziarno jego rozdaje,
Igła, to nie jest jego rzemiosło:
On tylko tego dotykać może,
Co w blasku słońca z rosą urosło,
W polach się kryło, co piękne, Boże;
A gdy przy pracy czoło zasmuci,
Skowronek pieśni w górze mu nuci.

Rzemieślnik.

Ja w ciasnéj izbie z nizkiem sklepieniem,
Przy mym warsztacie siedzę kamieniem.
Na niebo, jeśli wyglądam kiedy,
To tak, by jakoś pokrzepić siebie,
Że wielki, dobry jest Bóg w tem niebie,
Że przy Nim skończą się moje biedy.
Lecz szmata, bracie, jak mówisz, igła,
Nie są nikczemną cząstką u świata,
Pierwszą len, wełna lub jedwab splata,
Druga, nim w rękach ludzkich zastygła
Narzędziem w zgrabne kształty ujętém,
Była gdzieś w górach kruszcem niezgiętym.
Stal, jedwab, wełna i nitki wątek,
Wszystko od Boga ma swój początek;
A człek czy praca tania, czy droga,
Zawsze materyał bierze od Boga.
Pieśni skowronka wprawdzie nie słyszę,
Tylko mi w kącie zapłacze dziecię,
Póki je matka nie ukołysze,
I snu w piosenki swe nie oplecie.
Wieczór ustaje dzienna robota,
Człek zszedłszy spocząć przed chaty wrota,
Przy dźwięku dzwonów, gdy wyrzec może:
„Zrobiłem wszystko, coś kazał Boże!“
To w duszy niby anioł zadzwoni,
Troski ucisza, od złego chroni,
I taki w sercu śpiew się rozejdzie,
Że i bez ptasich nut się obejdzie.

Rolnik.

Dobrze mówicie, lepiéj nietrzeba,
Lecz bez rolnika, któżby dał chleba,
Rolnik dla świata, bracie, konieczny!

Rzemieślnik.

Rzemieślnik równie jest użyteczny.

Rolnik.

Rolnik pracując ludziom od rana,
Pracę oddaje na chwałę Pana.

Rzemieślnik.

Rzemieślnik także od rannéj zorzy,
Pracą swą, Bogu chwały przysporzy.

Rolnik.

Tak, to jest prawda!

Rzemieślnik.

Więc przyznaj, bracie,
Żeś dobry w polu, ja dobry w chacie;
Bo tak z twych kłosów, jak z moich nitek,
Bogu jest chwała, ludziom pożytek.
A zaszczyt świeci na wszech robotach,
Bo się w tych świętych spotkają wrotach:—
Pożytku ludzi, wraz z Bożą chwałą.
Idźmy więc każdy swą drogą śmiało!

—

Podali sobie nareszcie dłonie,
A dążąc każdy ku swojéj stronie,
By użyteczną pracę nieść światu;
Ten poszedł w pole, ten do warsztatu.

Jak unikać kłótni?

—

Przed laty żyła w pewnéj wiejskiej okolicy, na ustroniu, poczciwą jakaś staruszka. Wszyscy ją mieli za wróżkę, za jakąś nadzwyczajną istotę, bo mało się z innemi ludźmi wdawała, nie szukała nowych znajomości, nie chodziła do kumoszek i sąsiadek, nie wypytywała się nigdy, co kto w domu robi, plotek całkiem nie lubiła.— Jednakże gdy kto we wsi zachorował, gdy bieda komu dokuczyła, gdy kto w czem zawinił, lub miał do kogo urazę, do poczciwéj staruszki szedł po radę— a ona zawsze to lekarstwem, to pomocą każdemu żądaniu zadosyć uczynić potrafiła.— Razu pewnego przyszła do niéj młoda gospodyni. Ratuj mnie, mówiła, mieszkam w jednéj izbie z tak swarliwą kobietą, że ani rusz z nią żyć w zgodzie.—Kłócimy się ciągle, a widzę że to źle.

Ksiądz pleban tyle o zgodzie prawi, aż miło słuchać;— chciałoby się żyć, jak Bóg przykazuje, boć i gospodarstwo na tem traci, mój się gniewa i dzieci zły przykład widzą.— Ale to ta niedobra Kasprowa wszystkiemu winna, ona mi nie daje spokoju. — Gdybyście byli tak dobrzy moja matko, i rzucili jakie czary, albo dali zażyć jakich leków, tobym wszystko zrobiła, co chcecie, aby raz już tych swarów poprzestać.— Staruszka głową pokręciła, zażyła tabaczki, i powiedziała: „Czary..., leki..“ Pomyśliwszy chwilkę, dodała: „Poczekajcie tu na mnie trochę, Janowa“ i weszła do alkierza zkąd wkrótce powróciła z flaszeczką w ręku.

„Znalazłam moję dziecię, powiedziała, wodę cudowną, która ci wiele dobrego uczyni— skoro sąsiadka zacznie swoje spory, weź jéj do ust i trzymaj w ustach tak długo, póki Kasprowa złościć się nie przestanie.— zobaczysz, że jéj gniew długo trwać nie będzie, ta woda od każdéj kłótni cię oswobodzi.“—Gospodyni nisko się skłoniła staruszce, i uradowana wróciła do chaty.— Niedługo potem, że swój garnek za blisko garnka Kasprowéj na kominie postawiła, już się kłócić miały.

Wtedy Janowa czemprędzéj, nikomu się nie opowiadając, wzięła do ust owéj wody, i daléj koło swéj roboty krzątać się poczęła. Dziwna rzecz, istne czary!.... Kasprowa umilkła.— Tego dnia kilka razy podobnie się stało— woda skutek przyrzeczony zrobiła.— Trzeciego, czwartego dnia już Kasprowa żadnéj kłótni nie rozpoczęła— piątego zaś na coś się zanosiło, a Janowa z żalem spostrzegła, że jéj wody brakło— nie tracąc czasu pobiegła do staruszki i zaniosła jéj kurę w podarunku, prosząc o więcéj podobnie cudownych leków. Uśmiechnęła się dobrodusznie staruszka, i rzekła: „Moje dziecię weź twą kurę do domu, ja zapłaty nie żądam— tu szczególnie gdzie żadnych trudów, ani kosztu nie poniosłam. Czarów niema na świecie— ta woda—to woda prosta, kryniczna, któréj wszędzie macie podostatkiem.—Janowa wielkiemi oczyma na nią spojrzała, bo nie odrazu zrozumieć mogła, co się to ma znaczyć? Wkrótce jednak przyznała sama, że jedynem, skutecznem lekarstwem dla uniknienia kłótni, jest.... ustąpić.

Trzeba tylko wszelkiego dołożyć starania, by je wypełnić należycie, a wtem, nie przeczę, wielka trudność zachodzi,— bo w ogóle kobiety niechętnie ustępują, ani są uległe, ani cierpliwe— a jednak właśnie te cnoty najwięcéj im są w życiu potrzebne.— W każdym stanie kobieta powinna być koniecznie pobożną, uległą, cierpliwą, dobrą i dla innych pobłażającą, jeżeli chce kiedyś osiągnąć chwałę wiekuistą, a za życia poszanowanie u ludzi i ich przychylność. „Niewiasta swarliwa, mówi pismo święte, jako dach ustawicznie kapający“ a cóż na świecie nieznośniejszego jak krople wody kapające, któreby się nam ciągle o uszy obijały!...

Kobiéta w każdym stanie uległą być powinna, ona zawsze kogoś słuchać musi; gdy młoda, rodziców i opiekunów, a gdy za mąż pójdzie..., męża.

Mąż jest głową domu, Bóg sam mu dał to prawo,—my spełniać Jego wolę obowiązane jesteśmy, wolno nam tylko modlić się i prosić Boga, aby te rządy mężów naszych, z ich i naszą korzyścią były.— My kobiety ulegamy także opinii publicznéj, to jest: sądowi ludzi o nas.— Starajmy się wszelkiemi siłami, aby nam był życzliwy. Jak rosa do rozwinięcia się piękności kwiatka jest potrzebną, tak dobry sąd ludzi, oparty na czynach naszych, przyczynia się do szczęścia naszego.— Biada kobietom, które nie dbają, aby o nich dobrze mówiono, i za nic nie mając opinii publicznéj, wbrew jéj słusznym wymaganiom postępują. Niegodne, że żyją na świecie, na potępienie doczesne i wieczne zasługują.— Ludzie sprawiedliwość oddają tym kobietom, które z wypogodzonem czołem i sumie-

niem czystem na każdego spojrzeć mogą, i sądu Bożego się nie lękają.

Mówiłam o cierpliwości, a któż jéj więcéj od nas potrzebuje? Ciężkie boleści znosić musimy przy przyjściu na świat dziatek naszych: karmienie ich, pielęgnowanie, wychowanie, nie jest łatwą rzeczą; zwłaszcza, że przy tém zwykłe nasze prace codzienne odrabiać mamy.

Takie jest przeznaczenie nasze, zmienić go nie możemy—próżne narzekania, na nic się nie zdadzą. — Więc i tu uległości potrzeba....

Znośmy cierpliwie wszelkie dolegliwości stanu naszego. W cierpliwości znajdziemy osłodę w każdem cierpieniu.

Z tego, co mówiłam pokazuje się, że uległość i cierpliwość są nam niezbędne. Starajmy się uzyskać te cnoty, pókiśmy młode, ćwiczmy się w nich nieustannie.

Być dobrą, jest to tak postępować, jakbyśmy chciały, by względem nas postępowano. Pobłażającą—...nie widzieć w drugich grzechu, nie obmawiać, nie roztrząsać i na złe nie tłumaczyć czynności innych ludzi.— bo czyż mamy prawo sądzić, obwiniać bliźnich naszych, kiedy same grzeszymy?

Pobożność z tych wszystkich cnót wypływa, czyli raczéj one od niéj pochodzą, bo wszystko łączy się na świecie. Jak grzesznik, winowajca, zwykle z jednego w drugi grzech wpada, tak znowu kto jednę cnotę posiada, ten drugą łatwo osiągnąć może.

Nieznajomy.

Słusznie to tylokrotnie powtórzono, iż bogactwo nie stanowi szczęścia człowieka.— Za pieniądze nie można dostać zdrowia, uwolnić się od kalectwa, ani nabyć tego wewnętrznego spokoju, który cnocie tylko towarzyszy.—Nie można okupić się pieniędzmi od poniesienia najboleśniejszych strat w najmilszych osobach, ani też od własnéj śmierci. Bogaci z obojętnością używają wygód życia, a nawet otaczającego ich zbytku, uważając je, jako im przynależne. Jakąż więc rzetelną i trwałą roskosz przynieść mogą bogactwa? Oto jedyną godną serca człowieka roskosz, którą sprawia otarcie łez swoim współbraciom. — Takiém uczuciem przejęty, żył w Warszawie przed trzydziestu kilku laty prawdziwy przyjaciel ludzkości. Posiadając wysokie znaczenie i wielki majątek, gardził wystawnością, a całą przyjemność życia, znajdował w pożytecznéın zatrudnieniu i czynieniu dobrze. Pozostającego mu czasu od obowiązków, przywiązanych do znakomitego urzędu i od prac literackich, którym się z upodobaniem oddawał, używał w pięknéj porze na przechadzki w strony miasta najmniej okazujące zamożności, co dostarczało mu sposobności ulżenia nędzy ludzkiej, a zawsze w ten sposób, iżby nie wiedziano, zkąd pomoc przychodziła. W zimie lubił wieczory spędzać czasem w teatrze, lecz dozwalając sobie tak skromnéj zabawy, chciał ją okupić niekiedy pożytecznym dla ludzkości uczynkiem. Udawał się więc zazwyczaj na najwyższe miejsce nazwane paradyzem, a tam w kąciku wdawszy się w rozmowę z sąsiadami, zasilił niejednego dobrą radą, tajemnym datkiem, lub znakomitą pomocą. Jeden z podobnych przykładów przytoczę, miło jest bowiem oddać hołd cnocie, chociaż mniéj udolném piórém, czytającym zaś, niech rzetelność w opowiedzeniu następnego zdarzenia, brak innych zalet zastąpi.

Pewnego wieczora nasz przyjaciel ludzkości, którego tytułem Radcy odznaczać będziemy, przypatrywał się przedstawieniu jednéj z pięknie przepolszczonych większych komedyj francuzkich. Tym razem miał za sąsiada młodego człowieka, wyrazu twarzy bardzo ujmującego. Niebawem wszczął z nim rozmowę, zapytując, czy wielkim jest lubownikiem teatru? Młody człowiek odpowiedział mu, iż teatr jest jego najulubieńszą rozrywką, i że tak w kraju, jak za granicą, odmówić jéj sobie nie może. Widziałem, mówił, tę samę sztukę graną w Paryżu; a gdy następnie zaczął porównywać przedstawienie warszawskie z paryzkiem, oddając sprawiedliwość wybornéj grze naszych aktorów, tyle okazał trafności w sądzie, iż lubo to wszystko mówił z pewną prostotą i wielką skromnością, zainteresował wielce naszego Radcę. W dalszym więc ciągu gawędki, z dobrocią wzbudzającą zaufanie, zagadnął go, które z obcych krajów zwiedził, i w jakim to czynił celu?—W celu wykształcenia się w mojém rzemiośle, to jest w ślusarstwie, odrzekł zagadniony, odbyłem po większéj części pieszo utrudzającą wędrówkę, przeszedłem Niemcy, by-

łem we Francyi i w Anglii, i w obu tych krajach zatrzymałem się po lat parę, pracując w znakomitszych tamtejszych fabrykach. Daléj gdy zasłona zapadła, opowiedział zachęcony do tego przez Radcę, jakiéj biegłości nabrał w delikatnych robotach ze stali, oddawszy się im z zamiłowaniem, jak mógłby był pozostać za granicą, gdzie mu dobrze płacono, a nawet obiecywano do pewnéj części zysku z czasem przypuścić, gdyby nie tęsknota za ojczyzną, która mu spokojności nie dawała, i wreszcie nazad do kraju rodzinnego wrócić zmusiła. —Tu już od dwóch lat zostaję, dodał, i prowadzę fabrykę jednemu z porządnych i poczciwych majstrów. Ale wierz mi Pan, iż nie dla samych widoków zysku, martwię się, iż nie będę miał nigdy dosyć funduszu do otworzenia własnego zakładu; bo zresztą przykro być zmuszonym zajmować się samą grubą robotą, gdy człowiek mógłby pokazać, iż i w naszym kraju nie zbywa na zręczności do delikatniejszych wyrobów. W przeszłym roku zrobiłem był zamek na wystawę, i otrzymałem nagrodę, lecz dotąd nie trafiła mi się już podobna robota.—Mój panie, odezwał się Radca, jakiegoby też kapitału potrzeba na założenie takiéj fabryki, jakąbyś sobie mieć życzył?—Dobrodzieju! odpowie młody człowiek, takiego, o jakiego posiadaniu we śnie tylko marzyć mogę. Bo uważ pan, mówił daléj, coraz więcéj zapalając się; naprzód trzeba niemało pieniędzy na zaopatrzenie się w materyał stosowny i dosyć kosztowny, i na sprowadzenie rozmaitych narzędzi z za granicy, trzeba też pieniędzy, żeby mieć jakiś czas żyć o czem i płacić ludzi, z którymi pracowałoby się nad wyrobieniem pewnéj ilości przedmiotów, mających świadczyć o zręczności rzemieślnika. Potem trzebaby jeszcze pieniędzy na wynajęcie nietylko mieszkania, ale i sklepu przy jednéj z celniejszych ulic, któryby ustrojony został w wyroby z polerownéj jak lustro stali, służące nietylko do użytku, ale i ozdoby. Dodawszy do tych nakładów przetrzymanie początku, z potrzebnym czasem na usposobienie ludzi, obliczyłem, iż potrzebaby mieć najmniéj tysiąc dukatów. Wtenczas możnaby postawić fabrykę na tym stopniu, lubo w miniaturze, jak te, które widziałem za granicą.—A czy niemasz kogo, co by ci chciał dopomódz, odezwie się Radca?—Panie, odrzecze ślusarz, a któżby to chciał ryzykować podobną summę, powierzając ją komuś bez stosownego zabezpieczenia?—Znam ludzi, rzecze Radca, ktorzy mają niewielkie wprawdzie kapitaliki, ale możeby zechcieli wejść w jaką współkę z tak zręcznym fabrykantem, i dać go poznać Warszawie, trzebaby nam tylko bliżéj się z sobą zapoznać. Powiedz mi pan, jak się nazywasz, i gdzie mieszkasz; jeżeli co wskóram, to cię odwiedzę.—Młody rzemieślnik przejęty mimowolnie rodzajem uszanowania dla nieznanego mu naszego Radcy, wymienił swoje nazwisko, jako też majstra, u którego pracował i mieszkał, a Radca niedawszy mu czasu do podziękowania za okazaną sobie życzliwość, pożegnał go, i opuścił teatr przed ukończeniem widowiska. Zagłębiwszy się w swój skromny powozik nasz zacny mąż, poił się wcześnie rozkoszą dobrego czynu, układając planik dalszego swojego dzieła. Dla zachowania tajemnicy, którą się przy każdem świadczonem dobrodziejstwie otaczał, przeczekał parę tygodni dla dania ślusarzowi czasu do zapomnienia, czyli zniszczenia nadziei, którą był w nim wzbudził; potem zaczął się wywiadywać przez ludzi zręcznie do tego użytych, czy człowiek, względem którego miał pewne zamiary, był istotnie godzien zajęcia się nim? Skutek tych poszukiwań wypadł na korzyść młodego człowieka, gdyż majster jego wprowadzony niechcący w gawędkę, przyznał, iż nietylko nie miał nigdy u siebie, ale nie znał nawet w całéj Warszawie równie usposobionego w swojem rzemiośle człowieka, jak ten, który jego fabrykę prowadził; mówiąc zaś o jego moralném prowadzeniu się, to jedno miał mu tylko do zarzucenia, iż trochę na pana choruje, i zanadto często do teatru chodzi, unikając zabawy z poważnymi majstrami, którzy go szanują, tę zaś wadę przypisywał przydługiemu pobytowi za granicą, zkąd, według niego, musiał koniecznie jakiś niedobry nałóg przynieść.—Nasz Radca zadowolony, nie ociągał się dłużéj ze spełnieniem swojego dobroczynnego zamiaru, a paczka zawierająca 20,000 złp. czyli 3000 rs. w papierach, została przesłaną pod adresem młodego ślusarza. W kopercie zawierającéj tak okrągłą sumkę, znajdowała się także karteczka z temi wyrazami: Fundusz potrzebny na założenie fabryki wyrobów ślusarskich, ofiarowany panu T. pod warunkiem, iżby nigdy nie dochodził, od kogo go otrzymał, i wierzył, iż taka była wola Opatrzności.“

Wkrótce potem przybył Warszawie piękny

zakład dostarczający jéj eleganckich przedmiotów ze stali, nieustępujących w piękności zagranicznym, jako też sztucznych zamków i zameczków i różnych użytecznych, a razem mile wpadających w oko przedmiotów. Poczciwy właściciel zakładu modląc się za swojego dobroczyńcę, często ubolewał, iż mu swojéj wdzięczności okazać nie może, gdy tenże nieraz oglądając i kupując różne wyroby w jego ozdobnym sklepie, cieszył się powodzeniem. Po niejakim czasie nasz fabrykant dobrawszy sobie rozsądną towarzyszkę a razem, ochoczą i rządną gosposię, błogosławił razem z nią sprawcę wspólnego ich szczęścia, a po kilku latach przykładnego pożycia, niewinne prośby ich dzieci połączone z modłami rodziców, wznosiły się do Pana zastępów, i niewątpliwie przyczyniły się najskuteczniéj, do zapewnienia szlachetnemu dobroczyńcy wiecznéj szczęśliwości, zgotowanéj dla wybranych. Dobroczyńcą owym był Stanisław Staszyc, a majstrem ślusarskim Michał Taszyński.

Piękny przykład wdzięczności.

Przed czterdziestą z górą laty, żył w Warszawie Janczewski, majster zgromadzenia rzeźniczego, znany powszechnie z poczciwości, i szanowany od wszystkich. Dotknęła go ciężka niedola, bo mu żona, którą wielce kochał, umarła, i zostawiła czworo drobnych dziatek. — Ale Bóg opiekuje się sierotami: Janczewski, szczęśliwym przypadkiem natrafił, i przyjął do dozoru dzieci Magdalenę Krebsową. Była to już kobieta w późnym wieku, bo liczyła lat 82 życia, ale jeszcze krzepka, i czerstwa. Ta miała zastąpić czworgu sierotom, zmarłą matkę. Słodyczą charakteru, gorliwością i staraniem, nietylko potrafiła zjednać sobie miłość dziatek, nad którymi czuwała, ale i powszechny szacunek wszystkich, którzy ją poznali. Janczewski umierając, oceniwszy poświęcenie się Krebsowéj, poleca dzieciom, aby ją w dowód wdzięczności szanowano jak matkę, bo dla nich była rzeczywiście matką.— Poczciwa a podrosła już dziatwa święcie się wywiązała z polecenia ojca. Na lat trzy przed śmiercią, Krebsowa złamana starością, już bowiem liczyła 105 rok życia, nie mogła się ruszyć z łóżka. Otoczyła ją wówczas opieka i troskliwość wdzięcznych i przywiązanych dzieci; aż uderzyła ostatnia dla niéj godzina, w któréj zasnęła w Bogu snem cichym, mając lat 108, w miesiącu czerwcu 1824 roku. Janczewscy hojne ofiary łożyli za jéj duszę, obdarzyli ubóstwo, i wyprawili jakby swéj rodzonéj matce pogrzeb przyzwoity. Zwłoki jej na własnych ramionach zanieśli na smentarz powązkowski, i przy licznem zebraniu pochowali w ziemi. Kapłan zgromadzenia księży Franciszkanów mając przemowę nad zmarłéj grobem, zachęcał wymownie do naśladowania zarówno cnotliwego życia wiernéj służącéj, jak i dowodów wdzięczności szlachetnych jéj panów. Krzyż drewniany postawiony nad mogiłą Magdaleny Krebsowéj, przez lat wiele pamięć jéj przechowywał.

Zdania.

1. Człowiecze, miéj w pamięci, że jest oko w niebie, które we dnie i w nocy patrzy się na ciebie.

2. Dziś tak, jutro inaczéj; dlatego rozumny, w nieszczęściu nie rozpacza, w szczęściu nie jest dumny.

3. Źle, kiedy dla swych zalet kto drugim ubliża, ma każdy co go szczyci, ma co go poniża.

4. Czyń dobrym i złym dobrze, mając to na względzie, że i pierwszych przybędzie, i drugich ubędzie.

5. Dziś pracuj, dziś czyń dobrze, jutro dzień niepewny, nie zbierze plonu z roli, kto siał w czas niesiewny.

6. Nikt jeszcze sobie zemstą dobrze nie usłużył, lecz każdy złe pogorszył, kto jéj tylko użył

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować.— Warszawa d. 7 (19) Czerwca 1856 r. — Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*